



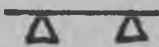
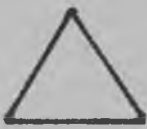
Biletyn

Hojewódzkiego

Domu  
Nr. 1(12)87r

Kultury

# Dyskusja





Nr 1/12/87



008/05

1987 (styczeń — marzec)

# Dyskusja

## BIULETYN WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY w BIAŁYMSTOKU

### W NUMERZE:

	str.
ZBIGNIEW WAYDYK — Fraszki . . . . .	2
<b>KONTRA</b>	
PRZEMYSŁAW SKARŻYŃSKI — Orient — Orient . . . . .	3
<b>TATARZY POLSCY</b>	
ALI MIŚKIEWICZ — Kim są Tatarzy polscy . . . . .	6
TERESA RUTKOWSKA — I znów na Tatarskim Szlaku . . . . .	9
JANUSZ KAMOCCI — W Bohonikach i na Sumatrze . . . . .	11
ELŻBIETA BARTOSZ — Ostatni tatarski szwadron w Wojsku Pol- kim . . . . .	13
<b>LITERATURA</b>	
SELIM CHAZBIJEWICZ, TAMARA MILKAMANOWICZ, TERESA RUTKOWSKA — wiersze . . . . .	15
GUSTAW ALBERTYNOWICZ — Wspomnienie . . . . .	18
<b>TWARZE JAZZU</b>	
KRZYSZTOF OSTASZEWSKI — Jaco Pastorius . . . . .	20
<b>KALEJDOSKOP KULTURALNY</b>	
MACIEJ SKARGA — Co słyhać w terenie . . . . .	23
ANDRZEJ Z. BRZEZIŃSKI — Być wiernym sobie . . . . .	25
KAZIMIERZ KONOPKA — Świat, człowiek, prawo	

### RADA PROGRAMOWA

Kazimierz Derkowski, Jan Szaciłło, Przemysław Skarżyński, Krzysztof Ostaszewski, Adam Borysiewicz

### Wydawca:

Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku

Sekretarz redakcji — Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Współpraca — Ali Miśkiewicz

Redaktor graficzny — Andrzej Dworakowski

Redaktor techniczny — Jan Szaciłło

FRASZKI

FRASZKI

### **Operowanie skalą**

Wiele nam zła czynią draństwa tuzy,  
Ale najwięcej pomniejsze łobuzy

### **Warunek powodzenia**

Polak potrafi,  
Gdy w innej parafii

### **Pazerny bóg**

Mołoch konsumpcji wszystko pochłonie:  
honor, uczciwość, spracowane dłonie

### **Słabe rokowanie**

Trudno dobrze wróżyć, gdy do obrad stołu  
Mędrcy z debilami zasiądą pospołu

### **Marszruta bolesna**

Nasza droga przez mękę — via dolorosa,  
To fanfaronada, bałagan i poza

### **Pretensjonalność**

Byle pchła  
I to żąda dla siebie tła!

### **Niedobre żeglowanie**

Niedobrze, gdy ster  
W dyspozycji zer

Zbigniew Waydyk

# KONTRA



## ORIENT — ORIENT

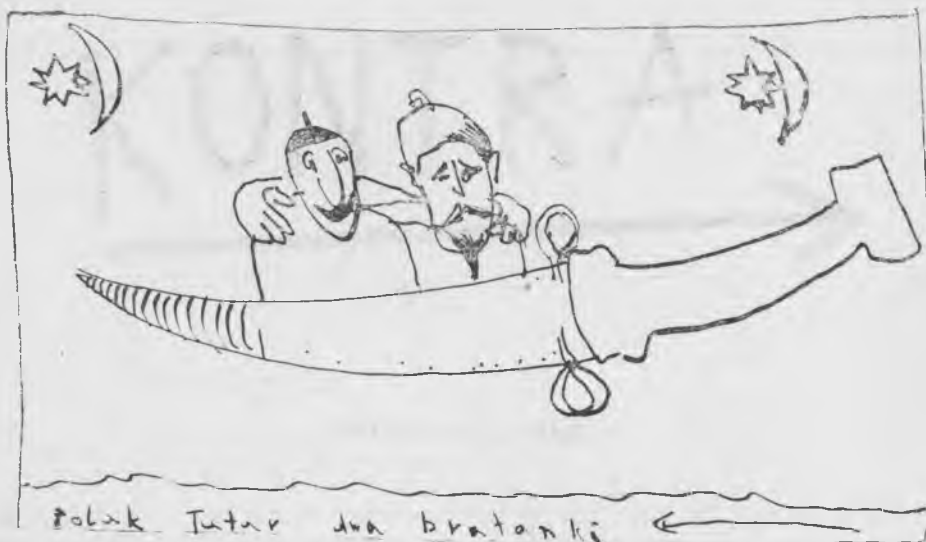
No i proszę. Do tej pory orientowaliśmy nasze łamy na właściwe orientacje w kulturze, a teraz przyszło nam dodatkowo skierować uwagę dyskutowiczów na to, iż w tym roku wznawia nam się i podobno (oby?) dochodzi na stałe jeszcze jeden Orient.

Nie, nie, niestety. Nie ma to nic wspólnego z Orient Expressem. Z tą salonką na szynach, w której leniwy kapitalista robi się na baszę i z nieukrywanym drzeniem polisy ubezpieczeniowej czeka na to, kiedy, powiedzmy niedaleko Bosforu, jakiś wyrafinowany gentelman przytnie gardziółko jego żony uzbrojone w złotą obrożę. I bardzo dobrze, że niestety. Po pierwsze dlatego, że trudno byłoby sobie wyobrazić ten, rodzimy Express przerobiony według ostatniej polskiej normy na osobowy-postojowy. Po drugie zaoszczędzi nam to widoku wychudłych galantów z kozikami, którzy na głodniaka po dwa, trzy dni musieliby wyczekiwać, powiedzmy pod Czeremchą, na opóźniony przyjazd rozklekotanej kuszetki wraz z kryzysową ofiarą. A po trzecie nam tu nie kapitalistów, a kapitału potrzeba, zwłaszcza gdy ma się świadomość, że w razie czego PZU wypłaci odszkodowanie za żonę, odbierając jednak tak zwany udział własny, jakoby za jej nierozwagę.

Wyjaśnijmy zatem od razu, że idzie w tym przypadku o Tatarski Polski Orient Sokółski, czyli towarzyski zajazd polskich potomków Tatarów. na Sokółkę. Rzecz samą w sobie słuszną i z celem, powiedziałbym jednoznacznie — zbożnym.

Jest ich bowiem w naszym kraju ponad dwa tysiące osób i takie doroczne spotkanie w gronie bliskich stwarza większe możliwości utrzymania nie tylko tradycji religijnych — muzułmańskich, gdyż te dzięki budowanym nowym meczetom i systematycznym praktykom w obecnie już istniejących nie wymazują się z pamięci, ale tradycji kulturowych, które są w zaniku. Stąd też tegoroczny Orient ma być próbą przeorientowania tej społeczności w kierunku odtworzenia dawnego obyczaju, a być może i języka. Przedsięwzięcie szalenie trudne, gdyż od trzech wieków Tatarzy z Bohonik, Kruszynian i kilku większych skupisk ich osiedlenia w Polsce nie znają języka przodków. Jest to jednak ze wszelki miar konieczne i byłoby pożyteczne dla obu stron. Potomkowie Tatarów czuliby się mocniej w swej egzystencji, a my nie patrzylibyśmy na nich jak na nieznaną egzotykę. Nie mierzylibyśmy ich jedyną znaną nam miarą: siekiewiczowskich powieści, szkolnych wiadomości o napaściach i prasowych komunikatów o wpadkach Polaków na tureckich celników.

Nic by się złego nie stało przedstawicielom młodego pokolenia, tatarskiego pokolenia, gdyby dla własnego zdrowia poznali wszelkie ar-



kana sztuki jeździeckiej, z której kiedyś słynęli przodkowie, gdyby swoim krewnym, sąsiadom, słowem nam wszystkim, zechcieli zaprezentować choćby fragment przeszłej, odległej historii.

Być może tak się stanie. Wszak szczęściem w owym nieszczęściu, jak mawiali starożytni, nasi oczywiście, jest Orient na Sokółkę, a ściślej mówiąc na jej Ośrodek Kultury. Tam jest miejsce dla pamiątek tatarskich wystawianych w Muzeum Społecznym, tam młodzi z rodzin tatarskich powoli skupiają się w Kole Młodzieży Muzułmańskiej i zaczynają odważnie odkrywać swe dzieje, tam także w kawiarni odbyły się już dwa wesela tatarskie, na które pozwolono wejść zaproszonym pracownikom SOK-u. Tenże Ośrodek Kultury ma również w swej opiece baczenie na restaurację meczetów i skrzętnie zbiera każdą rzecz świadczącą o kulturze tatarskiej.

Warto zatem zjeżdżać na Orienty Sokolskie i choć nie jest to porównywalne, bo być nie może, z dotarciem do Mekki i Medyny, przyznajemy, że ma większe szanse powodzenia. Do świętych miejscowości bowiem powinno się dotrzeć choćby raz w życiu jeśli ma się ku temu warunki (czyt. również finanse). A u nas wiadomo, różnie bywa. Jest nawet związana z tym ciekawostka historyczna. Do czasów I wojny światowej Tatarzy z naszych terenów jeździli do Mekki dość regularnie, w okresie międzywojennym pojechały tam dwie osoby, a po wojnie, jak niesie wieść historyków, nikt. Odnotujemy jednak, że w ostatnim czterdziestoleciu do świętego miejsca wybrała się gmina z Nowego Jorku. W tym roku zaś wyruszy pielgrzymka naszych rodzimych Tatarów, która dotrze do Mekki dzięki zaproszeniu jakie nadeszło z Arabii Saudyjskiej.

I pomyśleć, że kiedyś w zamierzchłych czasach Mekka i Medyna znajdująca się na sultańskim terytorium nie były aż tak odległe. Wtedy przecież Turcja graniczyła z Rzeczypospolitą, lub jak komu wygodniej Rzeczypospolita graniczyła z Turcją.

Nie znaczy to jednak, iż straciliśmy dobrosąsiedzkie stosunki. Obecnie przecież Polacy ganiają do tegoż kraju po kozuchy i bardzo dobrze, bo co by było gdyby dowiedzieliby się, że niedaleko w ich własnym kraju, a gdzie — oczywiście nie powiem, robią te odzienia nie tylko podobnie, ale czasami jeszcze lepiej. Niedobrze jednak, jeśli z owej go-

nitwy nie wynika dla obu stron nic prócz przeświadczenia, że w Stambule Polak trzyma Tatarzyna, a w Warszawie kozuch pęka i Tatarzyn za łeb trzyma.

Być może nie byłoby tak źle, gdyby nasz Szlak Tatarski został zagospodarowany tak jak Szlak, a nie istniał, przykro powiedzieć, bardziej z nazwy. A przydałoby się jeszcze przed Krynkami jakieś dwie ciekawie urządzone stacje z tzw. tatarianami. Wszak wioski przed Kruszynianami także mają wiele ciekawych legend i potwierdzonych zdarzeń historycznych związanych z dziejami Tatarów na tych terenach. Bar Złota Orda w Kruszynianach mógłby naprawdę serwować dania iście tatarskie. Niewiele chyba również zadbano o utrzymanie na tych terenach znakomitego rękodziela Tatarów, co oczywiście jest kardynalnym błędem w dużej mierze ze strony władz. Brak samodzielnej stacji jazdy konnej i coś mi się widzi, że nie myśli się o zatrzymaniu dla przyszłych pokoleń faktycznego wnętrza dawnej chaty lub dworku, zamieszkałego przez Tatarów na tych terenach.



Proszę mnie tylko nie posądzać, że dążę do pokazów egzotyki, ciekawostki. Otóż nie. Z jednej strony jednak wydaje się ważnym dotarcie do korzeni tatarskich rodów, a z drugiej bez niepotrzebnej skromności jasne przypomnienie, iż ci nasi Tatarzy od zarania ich bytowania na polskich terenach nie tylko, że nie mają wiele wspólnego z tymi od grabieży, ale w ważnych momentach dziejowych Polski, łącznie z powstaniami, zawsze stawali w jej obronie.

Idzie także o to, by, mówiąc całkiem poważnie, nikt nie wołał do kelnera w restauracji: — Tatara proszę, lecz proszę o befszyk tatarski, oczywiście z mięsa końskiego, a nie z rozklepanej wołowiny.

**Przemysław Skarżyński**



# Tatarzy Polscy

## KIM SĄ TATARZY POLSCY

Kiedy mówimy o Tatarach polskich — dziś już małej grupie etnograficznej — mamy zawsze na myśli strony białostockie. Utożsamiani są oni stale z naszym regionem, gdyż jest ich tu najwięcej w kraju. Zamieszkują głównie w północno-wschodniej części województwa białostockiego, przeważnie w miastach jak Sokółka, Suchowola czy Dąbrowa Białostocka. Spotykamy tu także stare osady tatarskie, znane z wielu przewodników krajoznawczych — wsie Bohoniki i Kruszyniany. Osiedlono w nich Tatarów w 2 poł. XVII w. za panowania Jana III Sobieskiego. Obecnie pozostają oni tam w mniejszości ustępując ludności chrześcijańskiej tj. katolickiej i prawosławnej. Pomimo tego obie te wsie uważane są nadal za tatarskie, chociażby ze względu na znajdujące się tam meczety i cmentarze muzułmańskie — mizary, które jako miejsca kultu religijnego Tatarów polskich, są przez nich często odwiedzane. Dzieje się tak najczęściej podczas świąt muzułmańskich. Polscy wyznawcy islamu — jak się nieraz określa Tatarów — mieszkają także w Białymstoku. Według informacji miejscowej gminy muzułmańskiej posiadała ona w 1986 r. około 800 parafian.

Poza regionem białostockim na skupiska tatarskie natrafiamy również na Pomorzu, w zachodniej Wielkopolsce i na Dolnym Śląsku. Powstały one po drugiej wojnie światowej, kiedy około 2 tys. Tatarów polskich zdecydowało się na opuszczenie rodzinnej Wileńszczyzny, Nowogródziny i Grodzieńszczyzny i w ramach akcji repatriacyjnej przeniósł się na ówczesne Ziemię Odzyskane. Wiele powstałych w tamtych latach skupisk dziś już nie istnieje. Tatarzy w większości przenieśli się z północnej i zachodniej części kraju na Białostoczczyznę. Inni ulegli całkowitej asymilacji z otoczeniem. Do naszych dni dotrwały jedynie 2 większe skupiska w Gdańsku i Gorzowie Wlkp. Ponadto trochę Tatarów mieszka jeszcze w Elblągu, Trzciance koło Piły, Szczecinie, Krośnie Odrzańskim, Wrocławiu i Oleśnicy. Nieduże zbiorowisko tatarskie znajduje się także w Warszawie. Wszystkich Tatarów polskich jest obecnie około 2,5 tys., lecz są to tylko dane przypuszczalne, wobec nie przeprowadzenia jak dotychczas dokładnego spisu tej ludności.

Tatarzy polscy różnią się od reszty mieszkańców kraju przede wszystkim religią. Będąc wyznawcami Islamu stanowią drobną cząstkę wśród



innych narodów muzułmańskich na świecie. Oddaleni od centrów religijnych na Bliskim Wschodzie, pozostali przez kilka stuleci wierni swemu wyznaniu. Przed wojną działało w Polsce 19 muzułmańskich gmin wyznaniowych, było 17 meczetów i 2 domy modlitwy. Muzułmańskim Związkiem Religijnym kierował Mufi dr Jakub Szyńkiewicz, rezydujący w Wilnie. Wiernych było około 6 tys. W naszych czasach działa w kraju 6 muzułmańskich gmin wyznaniowych, w tym 3 przedwojenne w Warszawie, Bohonikach i Kruszynianach. Gminy założone po 1945 r. są w Białymstoku, Gdańsku i Gorzowie Wlkp. Gminę białostocką założyli na początku lat sześćdziesiątych Tatarzy związani przed 1939 r. z różnymi diasporami muzułmańsko-tatarskimi na kresach. Jest ona całkowicie nową gminą, która w niedalekiej przyszłości, ze względu na największą liczbę parafian i projektowaną budowę meczetu, stanie się centralnym ośrodkiem religijnym dla polskich wyznawców islamu. Natomiast w Gdańsku nawiązuje się stale do tradycji byłej gminy muzułmańskiej w Wilnie, gdyż mieszka tam sporo byłych jej parafian. Nie inaczej jest w Gorzowie, gdzie podtrzymuje się z kolei tradycje byłej gminy muzułmańskiej w Nowogródku. Zmniejszenie się po wojnie w Polsce wyznawców islamu spowodowało, iż nie ustanowiono od nowa urzędu Muftiego. Nad całością spraw wyznaniowych czuwa obecnie Najwyższe Kolegium Muzułmańskiego Związku Religijnego, kierowane przez osobę świecką. Długoletnim jego przewodniczącym był Stefan Bajraszewski z Gdańska. Od 1984 r. stoi na jego czele Stefan Mucharski z Białegostoku. Sprawami ściśle liturgicznymi w kolegium zajmował się imam białostocki Lucjan Muchła. Po jego śmierci w 1979 r. przejął te obowiązki imam Aleksander Chalecki, także Białostoczanin.

Przedstawiając tę grupę etnograficzną nie sposób pominąć jej stanu społeczno-zawodowego. W ubiegłym stuleciu jak i w latach międzywojennych około 70% ludności tatarskiej, w większości małomiasteczkowej i wiejskiej, zajmowało się pracą na roli, ogrodnictwem i wyprawą skór. Tatarzy znani byli szczególnie z tego ostatniego zajęcia, posiadając opinię doskonałych i solidnych rzemieślników. Inni wywodzący się przeważnie z zubożałych rodzin inteligenckich zajmowali posady urzędnicze. Przedstawiciele nielicznej warstwy ziemiaństwa hołdowali zazwyczaj zawodom prawniczym. Spotykało się wśród nich także: profesorów wyższych uczelni, lekarzy, inżynierów i wojskowych.

Dziś, pod tym względem, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Nie ma jednego określonego zawodu, którym zajmowałaby się większość tej społeczności. Najwięcej jest pracowników umysłowych, głównie księgowych i ekonomistów. Dalej następują nauczyciele oraz inżynierowie i technicy różnej specjalności. Jest trochę prawników, lekarzy i farmaceutów. Z grona Tatarów wywodzi się także kilku naukowców związanych wyłącznie z uczelniami technicznymi. Poza wyjątkami zupełny brak jest humanistów. Oprócz tego Tatarzy parają się handlem i działalnością gastronomiczną. Są też oficerami i marynarzami we flocie handlowej. Tradycyjnie rolnictwem zajmują się Tatarzy na Białostocczyźnie i sporadycznie na Ziemiach Zachodnich. Spotyka się też garbarnie i zakłady renowacji skór prowadzone przez Tatarów w woj. białostockim i suwalskim. Jednak w porównaniu z okresem międzywojennym są już one w mniejszości.

Nie byłby to pełny obraz tej grupy społecznej, gdyby nie przypomnieć kilku jej wybitnych postaci. Do nich należy zaliczyć Aleksandra Sulkiewicza, działacza PPS, bojownika o niepodległość Polski, żołnierza I Brygady Legionów, poległego na polu chwały w 1916 r. Obok niego wymienić należy spokrewnionego z nim płk. Leona Hózmian Mirzę Sulkiewicza, uczestnika pierwszej wojny światowej i wojny lat 1919—1920, później dowódcę garnizonu w Inowrocławiu i obrońcę Warszawy w

1939 r. Obaj odznaczeni byli krzyżami *Virtuti Militari*. Dalej przypomnieć musimy sylwetki profesorów: Stefana Bazarewskiego, przyrodnika, związanego z Uniwersytetem Stefana Batorego w Wilnie, działacza tatarskiego oraz Osmana Achmatowicza, chemika, absolwenta tegoż Uniwersytetu i Oxfordu w Anglii, w latach trzydziestych dziekana Wydziału Farmaceutycznego Uniwersytetu Warszawskiego, uczestnika tajnego nauczania w czasie okupacji i po wojnie pierwszego rektora Politechniki Łódzkiej. Do tego grona zaliczyć należy również Alego Ismaila Woronowicza, orientalistę, absolwenta Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i Al Azhar w Kairze, imama gminy muzułmańskiej w Warszawie i kapelana Szwadronu Tatarskiego 13 Pułku Ułanów Wileńskich. Nie można także pominąć jego kolegi Mustafy Aleksandrowicza, również orientalisty, absolwenta obu wspomnianych uczelni, w latach trzydziestych pracownika Konsulatu Generalnego RP w Jeruzolimie, w czasie okupacji wykładowcy w polskim uniwersytecie w Szwajcarii.

Na zakończenie postawmy sobie pytanie — kim są dziś Tatarzy polscy? Na pewno nie mniejszością narodową. Grupą etniczną czy już tylko, jak wspomnieliśmy na początku, etnograficzną? Zgódźmy się, że tą ostatnią, skoro większość z nich mówi dziś o sobie jako o Polakach tatarskiego pochodzenia, podkreślając tylko odrębność religijną. Podobnie na różnice przede wszystkim religijne zwracają uwagę i ci Tatarzy, którzy choć w mniejszości, podkreślają nadal swą odrębność narodową. Tak jedni jak i drudzy nie widzą zgodnie, poza Polską, innego obszaru geograficznego, który mogliby uznać za ojczysty. Ale czy tylko wyróżnia ich religia? Odmiennosc pozawyznaniowa Tatarów nie jest tak mocno wyczuwalna. Dostrzec ją można tylko na Białostocczyźnie. Najbardziej rzuca się w oczy wygląd Tatarów tj. cechy antropologiczne, do których przede wszystkim należą: lekko ukośne oczy, zaokrąglona twarz, wystające kości policzkowe i nieco śniada cera. Cechy te nie wyróżniają wszystkich Tatarów i wygląd wielu z nich nie wskazuje, iż są niesłowiańskiego pochodzenia. Obok tego Tatarzy przejawiają zamiłowanie do jaskrawych barw, co nieraz uwidacznia się w wystroju mieszkań i w ubiorach kobiet. Są pogodni i towarzyscy, nie przejawiają specjalnie wewnętrznego separatyzmu; będąc w swoim gronie nigdy nie przestają być Polakami. Zwracało na to uwagę wiele osób przebywających dłużej wśród Tatarów. Potrafią być dobrymi działaczami społecznymi, jeśli widzą wyraźną cel w tym co robią. Jednak w podejmowaniu ważnych decyzji nie są jednomyślni, różniąc się często bardzo odmiennymi poglądami. Tatarzy nie lubią być wyróżniani z ogółu z racji swego wyznania czy odmiennego pochodzenia. Nie znaczy to wcale, że chcieliby się z tym ukrywać, ale są zawsze niezadowoleni, jeśli czyni się wokół tego wiele niepotrzebnego rozgłosu.

Tatarów polskich nie należy traktować jako ludność nam obcą, nie związaną z naszym krajem. Tu na Białostocczyźnie Tatarzy przebywają już od 3 stuleci, jeśli weźmiemy pod uwagę okresy wcześniejsze, to możemy dodać do nich jeszcze ze 3 stulecia bytności Tatarów w Rzeczypospolitej. Tatarzy polscy to nie tylko grupa etnograficzna, ale bardziej lokalna, miejscowa, związana najmocniej ze stronami białostockimi. O tym powinni pamiętać ci wszyscy, którzy ciągle traktują ich jako grupę egzotyczną wyizolowaną z dziejów i kultury naszego kraju. Takie podejście do nich może przynieść wiele zła i spowodować niepotrzebne nikomu napięcia. Miejmy nadzieję, że osób z takimi poglądami będzie coraz mniej.

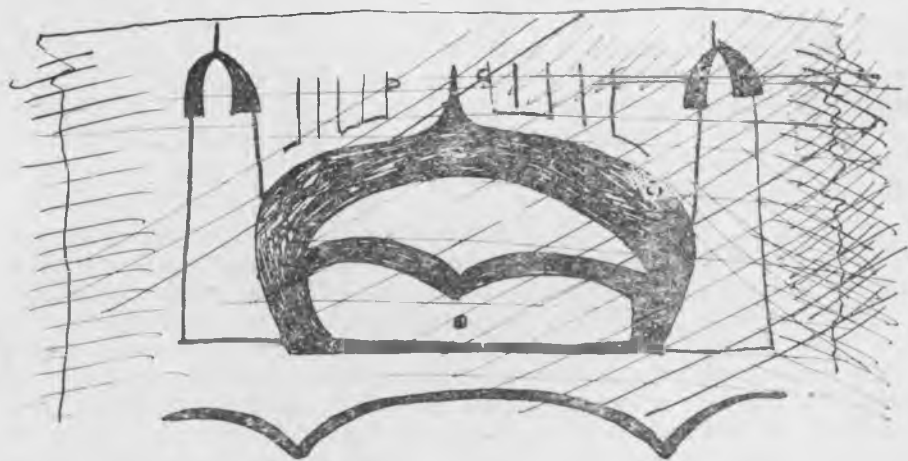
Ali Miśkiewicz

## I ZNÓW NA „TATARSKIM SZLAKU”

Lato szczególnie sprzyja wędrówkom po kraju. Przemierzamy więc Polskę wzdłuż i wszerz, od Szczecina do Tatr, od Wrocławia poprzez Warszawę i Lublin do Białegostoku. Niektóre drogi mijamy bez szczególnego zainteresowania, inne zmuszają wręcz do powracania na znane już szlaki.

Co zmusza nas do tych powrotów na utarte ścieżki? Czego szukamy? Czasem tropimy własną młodość, poszukujemy śladów przeszłości, gominimy uciekający czas...

Są więc takie miejsca na naszej ziemi, gdzie kieruję swoje kroki ze szczególnym sentymentem i upodobaniem. Do takich między innymi należy ziemia białostocka. Ziemia białostocka — to przede wszystkim wspaniała Puszcza Knyszyńska, skąd dalej droga prowadzi do niewielkiego, lecz znanego z targów końskich miasta Sokółki. Sokółka jest do dziś drugim co do wielkości skupiskiem Tatarów Polskich na tych terenach. Jedna z większych ulic miasta nosi obecnie imię Aleksandra Jeljaszewicza, ostatniego dowódcy szwadronu jazdy tatarskiej, który walczył w 1939 roku w obronie kraju. Tutaj łączy się historia ze współczesnością. Stare drewniane domki otoczone uroczymi przydomowymi ogródkami, pełnymi kwiatów, sąsiadują o parę ulic dalej z nowoczesnymi blokami. Sokółka pozostaje w mojej pamięci jako miejsce, gdzie spotkać można życzliwych i gościnnych ludzi, a także gdzie w letnie wieczory w ogródkach pachną słodko białe lilie.



Z Sokółki drogą przez Drahle, można dostać się do niewielkiej wsi Bohoniki. Obie te miejscowości wraz z niedalekimi Malewiczami należą do osad od 300 lat zamieszkiwanych przez ludność tatarską. Otrzymali je od Króla Jana III-go żołnierze rotmistrzów tatarskich jako rekompensatę za zaległy żołd. Bohoniki już z daleka witają błyszczącym półksiężycem, złoćącym się u szczytu wieżyczki drewnianego meczetu. Budowla ta, mająca kształt kwadratu, pochodzi z XIX w. i jest jedną z dwóch świątyń muzułmańskich, znajdujących się obecnie w kraju. Ze względu na oryginalną i unikalną architekturę obydwa meczety należą do cennych zabytków kultury materialnej. Na tle zieleni maleńka świątynka zdaje się trwać poza czasem na zawsze wpisana w trochę senny pej-

zaż. Za meczetem znajduje się stary cmentarz muzułmański — mizar. Wejść tam można przez szeroką bramę ozdobioną metalowym półksiężcem.

Drugi cmentarz spotykamy w Kruszynianach, do których droga prowadzi przez Starą Kamionkę, Szudziałowo i Krynki. Kruszyniany położone w dolinie, zachowały gdzieniegdzie typowy charakter kresowej wiośki z XVII wieku. Kiedyś osiedlili się tu wojownicy tatarscy pod dowództwem pułkownika Samuela Murzy Krzeczowskiego. „Wsie Kruszyniany, Łużany i Nietupa zostały nadane przez Króla Jana III-go Sobieskiego Polskim Tatarom za zaległy żołd”. Przypomina o tym ogromny polny głaz, umieszczony na skrzyżowaniu dróg w 300-lecie tego wydarzenia. Dziś jednak niewiele Tatarów zamieszkuje te okolice. Wiele domów opustoszało. Jako ślad dawnej przeszłości pozostał meczet i mizar. I oto stajemy przed oryginalną drewnianą budowlą, przypominającą wiejski kościółek, gdyby nie półksiężce na wieżach. Meczet otoczony wysokimi drzewami i okolony niskim, kamiennym murkiem, wtopiony w polski krajobraz łączy w przedziwny sposób tradycję wyznawców islamu z polskością. Splata się tu w jedno dwoistość kultur, tworząc niezapomniany koloryt polskiego orientu.

W odległości około 400 m od meczetu, na wzgórzu znajduje się mizar. Prowadzi do niego polna piaszczysta droga. Wszystkie cmentarze składają do głębokich refleksji, kryją bowiem wiele tajemnic istnienia ludzi, którzy odeszli od żywych. Świadczą wymownie o przemijaniu czasu, którego nie można zatrzymać. Miasta umarłych, spowite ciszą i nieuchronnością końca życia. Szumią wysokie drzewa, pod nogami szeleszczą zeschnięte liście, stopy toną w splątanych trawach. Snuje się zapach ziół i kwiatów, cykają świerszcze, ponad głowami, wśród gałęzi drzew rozlega się świergot niewidocznych ptaków. Pod kopułą nieba płyną białe obłoki. Kraina dżinów i aniołów. Na kamiennych nagrobkach wykute półksiężce i wersety koraniczne w języku arabskim, a obok w językach polskim lub rosyjskim daty narodzin i śmierci oraz imiona i nazwiska. Wśród odczytywanych imion — dużo imion polskich, lecz i typowych wschodnich, brzmiących jak egzotyczna muzyka — Selim, Abduł, Dżenet, Fatima...

Przy wyjściu z cmentarza, po prawej stronie, zwraca uwagę smukły obelisk w otoczeniu wysokich sosen. Samotna mogiła żołnierza poległego w 1914 roku. Jeszcze kilkanaście lat temu na wierzchołku znajdował się blaszany półksiężec, jakaś barbarzyńska ręka zerwała go jednak. O tym, że tam był, może świadczyć tylko stara fotografia. Smutek i opuszczenie tych miejsc wywołuje szczególnie głęboką potrzebę refleksji. Myśl cofa się w czasy odległe, przed oczami przesuwają się obrazy historii. W poszumie wiatru zdaje się słyszeć tętent kopyt końskich. Rysują się jakieś cienie, jakby nagle zbudzone echa dawnych dziejów. I oto idą tatarskie oddziały tak mocno związane z historią narodu. Insurekcja kościuszkowska, powstania, dwie wojny. Wszędzie na kartach historii spotykamy postacie Tatarów. Joachim Murza Korycki. Samuel Ułan, Bielakowie, Tuhan Baranowski, Aleksander Buczacki, aż do ostatniego rotmistrza Aleksandra Jeljaszewicza. Ile pokoleń Tatarów polskich, ile istnień ludzkich, wiernych i dzielnych żołnierzy złożyło swe życie w służbie przybranej Ojczyźnie.

Pozostały groby, kamienie mówią dziś o przeszłości. Potomkowie żołnierzy zaasymilowali się ze społecznością polską i żyją wśród nas. Tylko wiara różni ich od rodowitych Polaków i jednoczy między sobą.

Pozostały relikty dawnych kultur, wtopione w podlaski pejzaż.

**Teresa Rutkowska**

## W BOHONIKACH I NA SUMATRZE

Właściwie o Tatarach polskich — jak na etnografa — wiedziałem bardzo niewiele. Pochodzę z Sandomierskiego, z regionu w którym Tatarzy kojarzą się raczej z najazdami i wymordowaniem sandomierskich Dominikanów aniżeli z wierną Polsce, bitną szlachtą kresową. Owszem, o niektórych wsiach mówiło się, że ich mieszkańcy są pochodzenia tatarskiego — charakteryzowali się nie największą ochotą do pracy, a za to skłonnościami do bitki i zwady. Z nich zresztą rekrutowało się wielu doskonałych partyzantów AK. Nie wyróżniali się jednak ani strojem, ani obrzędami, nie widziałem w nich jakiejś odrębnej grupy etnograficznej, więc choć Sandomierszczyzna znajdowała się zawsze w centrum moich zainteresowań naukowych, tym zjawiskiem z jej terenu nie zajmowałem się nigdy.

Pracując w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, przed wielu laty, zająłem się znajdującymi się w nim zbiorami pozaeuropejskimi, z czasem wyodrębnionymi w osobny dział. Było w nim parę kolekcji — zwłaszcza jedna stanowiła problem, zdawałoby się nie do rozwiązania: bardzo cenna przywieziona do Polski w roku 1900 przez Mariana Raciborskiego kolekcja lalek tradycyjnego teatru jawajskiego. Pakowane pośpiesznie w roku 1939, przechowywane w nieodpowiednich warunkach w czasie wojny, wyjęte ze skrzyń spleśniałe i gwałtownie ratowane przed zniszczeniem miały niemal wszystkie głowy oddzielone od korpusów. Dopasowanie ich było prawdziwym rebusem. Literatury fachowej nie było — ratowałem się stałymi kontaktami z ambasadą indonezyjską w Warszawie, przez nią ściągałem potrzebne mi informacje, wgrzyzałem się w tajniki kultury tego kraju. Gdy już organizowałem wystawy sztuki Indonezji — mogłem na nich pokazać nie tylko eksponaty z kolekcji muzealnych: miałem kontakty z większością ludzi którzy po swym pobycie w tym kraju przywieźli jakieś zbiory do Polski. W wyniku tych wszystkich prac i kontaktów zostałem nagrodzony stypendium na wyjazd do Indonezji.



Oczywiście, wiedziałem czego oczekuję po pobycie w tym kraju, czego będę chciał się o nim dowiedzieć. Ale — pozostał drugi problem: czym ja mogę niejako zrewanżować się za to zaproszenie, co mogę Indonezyjczykom przekazać z polskiej kultury? Co ich z niej może zainteresować? Niewątpliwie jednym z takich zagadnień był polski islam, jechałem przecież do kraju, którego mieszkańcy w ogromnej większości są muzułmanami. Więc trzeba było zapoznać się z literaturą (niezbyt zresztą bogatą), a że nie lubię teoretycznej tylko znajomości przedmiotu — pojechałem do Bohonik. Wyjazd ten nie był specjalnie udany: na moje listy zaadresowane do tamtejszej gminy religijnej nie otrzymałem żadnej odpowie-

dzi, przyjechałem akurat na czyjś pogrzeb, wprawdzie ceremonia ciekawa dla etnografa, ale atmosfera niezbyt nadająca się do swobodnej pogawędki. Na szczęście lody nieufności prędko prysły, wkrótce zaproszono mnie do stołu wraz z mężczyznami śpiewającymi modlitwy. Słuchałem rozmów, czasem rzucałem pytania — następnego dnia odwiedziłem chyba wszystkie rodziny tatarskie Bohonik — byłem już kimś znajomym.

Jak się okazało, nie byłem pierwszym Polakiem, który uważał, że Indonezyjczycy mogą interesować się problemami swych polskich współwyznawców: w magazynach Ambasady PRL w Jakorcie leżało wiele egzemplarzy tłumaczeń artykułu Macieja Konopackiego o polskich Tatarach. Toteż zawsze dbałem, aby w moim plecaku znajdowało się również parę sztuk tej broszury.

W ten sposób Tatarzy polscy towarzyszyli mi wszędzie na szlakach innych indonezyjskich wędrówek: broszura Konopackiego uwiarygodniała moje słowa. Ale nie tylko ona: zawsze miałem przy sobie zapas fotografii, które zrobiłem w Bohonikach. Gdy byłem w tej wsi akurat panowała ostra zima — toteż zdjęcie meczetu i mogił na mizarze obsypanych śniegiem budziło u Indonezyjczyków sensację. U nich śnieg występuje jedynie w górnych partiach najwyższego szczytu górskiego. A że grobowce były niewątpliwie muzułmańskie, więc śnieg był dowodem przekonującym, że ten cmentarz leży w kraju nietypowym dla świata islamu.

Sam fakt istnienia w Polsce wyznawców islamu wywoływał niedowierzanie: przecież Polska jest znana jako kraj katolicki, więc skąd tu muzułmanie? Występowała także czasem obawa, czy w tejsze katolickiej Polsce ludność muzułmańska nie jest w jakiś sposób represjonowana, czy nie podlega prześladowaniom. Tu z pomocą szła mi tradycja ullańska Tatarów polskich — mówiłem o szwadronie jazdy tatarskiej, który istniał w armii polskiej właściwie tak długo, jak długo istniała tradycja kawalerii polskiej. Przyznano mi rację, że jeśli wolno było polskimi wyznawcom islamu służyć we własnej formacji wojskowej, to musiano mieć do nich zaufanie i uważać ich za pełnoprawnych obywateli.

Nie wiem, ile miałem spotkań, w których mówiłem o polskich Tatarach. Czasem były to prywatne rozmowy, czasem spotkania z imamami, czasem z reporterami bądź z właścicielami gazet, najważniejsze zaś było chyba spotkanie z gronem profesorskim islamskiego uniwersytetu w Palembangu.

Po powrocie nawiązałem znajomość z Maciejem Konopackim, która z czasem przekształciła się w przyjaźń. Kontakty z polskimi Tatarami stały się częstsze — zająłem się problematyką grup będących łącznikami pomiędzy kulturą polską a kulturą Orientu, polskimi Tatarami i polskimi Ormianami. Brałem udział w azanie i w obchodach święta Bajramu. Raz, gdy wkrótce po moim powrocie z Indonezji byłem w Białymstoku, zaproszono mnie na nabożeństwo.

Po nabożeństwie miałem odczyt. Ale będący niejako odwróceniem mojej dotychczasowej działalności: polskimi wyznawcom islamu — mówiłem o życiu ich współwyznawców, żyjących w dalekiej Indonezji. Na koniec imam zapytał: Proszę pana, pan tak długo przbywał wśród naszych współwyznawców, pan tak ich obserwował — jak pan sądzi, czy my tak samo odprawiamy nabożeństwo jak oni?

Stwierdziłem, że widzę tu jedną różnicę: przyzwyczailem się do słuchania w czasie nabożeństw gardłowej arabszczyzny, a tu słuchałem jej wymawianej ze śpiewnym akcentem wileńskim. No widzi pan, widzi — bo my, to takie wileńskie muzułmany — padła natychmiastowa, także śpiewna odpowiedź.

Janusz Kamocki



## OSTATNI TATARSKI SZWADRON W W OJSKU POLSKIM

Już od najdawniejszych czasów Tatarzy polscy zamieszkujący dawne ziemie polsko-litewskie dzielnie stawali u boku żołnierza polskiego walcząc pod Kircholmem, Połockiem, Chocimiem, Wiedniem i Maciejowicami. Męstwo, odwaga, brawurowa wręcz zręczność pułków tatarskich znana była do tego stopnia, iż w wielu krajach zachodnio-europejskich zaczęto tworzyć lekką jazdę wzorowaną na formacjach tatarskich. Największą sławą cieszyły się one w wieku XVII i XVIII. Jednakże pamięć o nich przetrwała wśród polskich wyznawców islamu po okres międzywojenny. Potomkowie dawnych dowódców tatarskich chcąc ożywić tę chlubną tradycję rycerską rozpoczęli staranie o utworzenie w armii polskiej chociażby symbolicznej jednostki wojskowej.

Starania ich zostały uwieńczone sukcesem.

9 czerwca 1936 roku minister spraw wojskowych rozkazem dziennym nr 9 nadał 1 szwadronowi 13 pułku Ułanów Wileńskich nazwę „Szwadron Ułanów Tatarskich”.



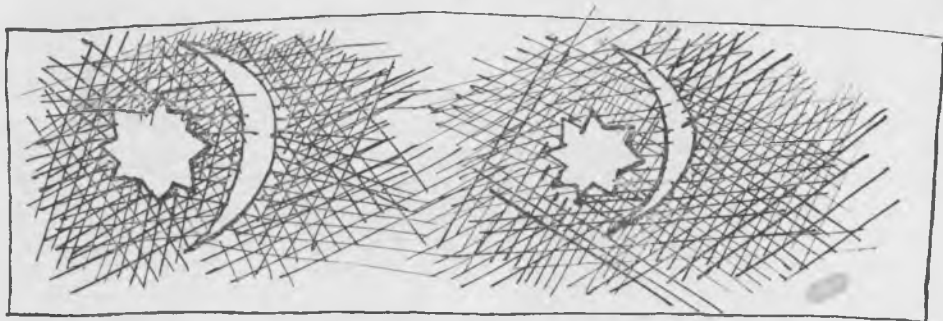
Po otrzymaniu rozkazu natychmiast przystąpiono do tworzenia ostatniej już formacji tatarskiej w Wojsku Polskim. Wszyscy oficerowie, podoficerowie oraz ułani wchodzący w skład szwadronu nosić mieli na kołnierzykach kurtek i płaszczy złoty emblemat w kształcie półksiężyca z gwiazdą. Był to zewnętrzny wyraz odróżniający ułanów szwadronu od pozostałych żołnierzy pułku.

Niezwykle efektownie wyglądały proporczyki szwadronu. Ufundowane przez ludność tatarską wykonane były z jedwabiu. Różowe proporczyki pułku przyozdobione zostały w złoty półksiężyc z gwiazdą oraz jasnoniebieski pasek, jako kolor byłej jazdy tatarskiej. Otrzymał też szwadron od społeczności tatarskiej buńczuk — długości 3 metrów z długim pozłacanym grotem zakończonym półksiężycem. Poniżej grotu znajdowały się trzy stopniowo zwiększające się krążki z dzwoneczkami, każdy o innej tonacji. Do grotu umocowane były dwa symboliczne ogony końskie jeden biało-czerwony mówiący o łączności Tatarów z Polską, drugi zielony — muzułmański. Uroczyste wręczenie buńczuka odbyło się w Nowej Wilejce w dniu święta pułkowego tj. 25 lipca 1937 roku. Poprzedzone zostało uroczystym nabożeństwem na placu artyleryjskim, gdzie zgromadzony został cały 13 Pułk Ułanów Wileńskich.

Przysięgę na wierność Rzeczypospolitej złożył szwadron 13 grudnia 1936 roku! Na uroczystość tę przybyli liczni przedstawiciele wileńskiej gminy tatarskiej m.in. imam Ibrahim Szmajkiewicz. Ułani wyznania muzułmańskiego złożyli przysięgę na Koran. Cechą charakterystyczną tego szwadronu było duże zróżnicowanie religijne. Muzułmanie zbierali się na nabożeństwa w świetlicy żołnierskiej. W czasie zaś większych świąt wyjeżdżali wraz ze swoimi dowódcami na modlitwę do meczetu w Wilnie.



Służba wojskowa w szwadronie, jak w całej zresztą kawalerii trwała 23 miesiące i była dosyć trudna. Sama pielęgnacja koni zajmowała ułanom około 3,5 godzin dziennie. Do tego dochodziła obowiązkowa jazda konna, musztra oraz ćwiczenia strzeleckie. Zajęcia rozpoczynały się zwykle o godzinie 5.30 pobudką, a kończyły o 20.45 capstrzykiem. Organizatorem zajęć był dowódca szwadronu. Uzupełnieniem szkolenia bojowego kawalerii był sport konny, szczególnie wśród ułanów szwadronu popularny. „Szwadron był dobrze wyszkolony bojowo, wyróżniał się sprawnością fizyczną i dużym zdyscyplinowaniem, o które dbali oficerowie i podoficerowie. Dbano również o fason i wygląd zewnętrzny ułanów. W całości szwadron wyglądał malowniczo i wzbudzał zainteresowanie, a nawet wprowadzał w zachwyt publiczność na paradach wojskowych. Dlatego też począwszy od lipca 1937 roku pluton honorowy do sztandaru pułkowego był wyznaczony ze Szwadronu Ułanów Tatarskich”.



Prawdziwe ożywienie i duży wpływ na życie szwadronu wywołał jego ostatni dowódca — oficer pochodzenia tatarskiego Aleksander Jeljaszewicz. On też dowodził szwadronem w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku. Szwadron wraz z całym 13 Pułkiem Ułanów wszedł w skład Wileńskiej Brygady Kawalerii. Początkowo przetransportowany został do Galkówki pod Łodzią, skąd przedostał się w okolice Piotrkowa Trybunalskiego. Tam po otrzymaniu rozkazu rozpoczął marsz na Częstochowę. Do Częstochowy nie dotarł, gdyż okazało się, że linia frontu przerwana została przez niemiecką 7 Dywizję Piechoty. Szwadronowi powierzono zadanie obrony przeprawy na Pilicy w rejonie Sulejowa. Następny rozkaz zarządził marsz w stronę Wisły i przeprawę na drugą stronę. Przeprawa (z 9 na 10 września 1939 roku) odbywała się w niezwykle ciężkich warunkach. Samoloty niemieckie o świcie ostrzeliwały i bombardowały przeprawę powodując duże straty w ludziach i koniach. Część żołnierzy utonęła w nurtach Wisły, część wróciła na zachodni brzeg i dołączyła do innych oddziałów. Tylko około 30 ułanom udało się szczęśliwie przeprawić przez Wisłę. Szwadron wraz z resztą 4 Pułku Ułanów rozpoczął marsz z kierunku Lublin — Piaski — Lubartów. Pod Suchowolą stoczył bitwę z niemieckimi oddziałami 69 Dywizji Piechoty wspartej artylerią. Była to najcięższa walka jaką szwadron stoczył podczas całej kampanii. W oddziale powstały duże straty, ze szwadronu pozostało zaledwie tylko kilkunastu ludzi. W lesie w rejonie Rudy Różanieckiej pozostała część szwadronu wraz z rtm. Jeljaszewiczem dołączyła do Nowogródzkiej Brygady Kawalerii maszerując na południe w celu przedostania się na Węgry. Po nieudanej próbie przebicia się na Węgry dowódca pułku 28.IX w Medyce podjął decyzję o rozwiązaniu szwadronu i rozpuszczeniu żołnierzy do domu.

Tak zakończyły się dzieje ostatniego w naszej historii oddziału tatarskiego.

Elżbieta Bartosz

# LITERATURA

★            ★            ★  
Złączeni jesiennym powiewem wiatru  
szelestem liści  
mgłą  
nie chcemy nic wiedzieć  
zaufaliśmy kasztanowi  
który skrycie trzymamy w kieszeni  
ty  
ja  
na szczęście

★            ★            ★  
cichy szum  
przeszywający dreszcz  
głęboka dal  
mrok który czasami przeraża  
nasze cienie  
lot białego labędzia  
nocne dźwięki  
i mój głośny krzyk  
którego nikt nie słyszy  
oprócz mnie

Tamara Milkamanowicz

## Derwisz szalony

Gdziekolwiek jesteś — Dżelaleddinie Rumi  
poeto, gdy światło wąskich uliczek  
Kenii wsącza się w sen  
I zasypiam wymieniając 99 imion Allaha  
Przychodzisz do mnie we śnie  
Twój biały burnus wiruje  
Przynosząc wiatr deszcz i miłość  
Dżelaleddinie wyruszyłeś szukać  
Nauczyciela  
Brodaty, zmęczony, siedzisz  
nad kawą, a już świt  
wszystko staje się znów  
przeraźliwie obce

Miraże Wschodu oddalają się  
wszystkie mistyczne ścieżki  
wiodą w biel pościeli  
nieraz ucieczka staje się  
niemożliwa zaznajasz tylko  
siebie  
chciałeś uciekać przed kobietą  
rozjeżdżone ulice  
świt w wąskich zaułkach oddech  
zdziwienie  
biały burnus wiruje coraz bardziej  
Nie odchodź kochany  
jakże już obcy przez to  
a kręgi baniek mydlanych  
coraz szerzej oddają tajemnicę  
bądź mną bądź mną  
biały burnus  
Stopy grzęzną w piasku coraz  
więcej jak najwięcej grzęzną  
i nad ranem pęka ciało rozpacz  
jest nienawiścią więzienia  
i pokorą pysznych  
jest strachem wielkich i odwagą  
przeciętnych  
rozpacz jak brzytwa przecina  
kartki tylko one mówią  
jeszcze mówią to co chcą  
nie uciekaj jakże okrutny  
Mirze szaleńcze wolności  
Może w tobie odnajdę to  
czego nie znam  
ocal mnie mój burnus  
gdzie świt wdziera się cykaniem  
świerszczy i śpiewem  
muezzina  
Nauczycielu  
nad ranem jakże dusi pustynia  
gdy wstajesz

### Tatarzy polscy

Pierwsi przybyli za kniazia  
Witolda  
Z kołczanami, szablami  
na małych koniach  
zdyszani walką  
dostali ziemię, kobiety  
przyjęto ich pod herby  
tworzyli chorągwie lekkiej jazdy.  
Walczyli pod Kircholmem  
Chocimem Wiedniem  
budowali meczety  
uprawiali ziemię  
domów pilnowały słowiańskie  
kobiety  
Byli w armiach  
Kościuszki Napoleona

Księstwa Warszawskiego

bili się w 1830

1863

1919

Pułk Jazdy Tatarskiej im. Mustafy

Achmatowicza

Dyon Mahometański

Szwadron Tatarski 13 Pułku Ulanów

Wileńskich, robili zajazdy

mieszkali w zaściankach

wpisani w pejzaż kresów

historię Rzeczypospolitej

Jeźdźcy mistycznej Azji

tylko przez osiemdziesiąt lat

za króla Kazimierza Jagiellończyka

mieli swoje państwo —

Chanat Jalotra jako lenno

i protektorat Rzeczypospolitej

w domu mówili

po litewsku, białorusku

po polsku.

Wydali paru poetów intelektualistów polityków

byli żołnierzami

zaściankową szlachtą

ziemiaństwem kresowym

rzemieślnikami

wolnymi chłopami

tak zwanymi królewskimi

Zasiadali jako senatorowie

posłowie, ambasadorowie

bawili się w Paryżu

Warszawie, Petersburgu

z nostalgią nadzieją

i fantazją.

W ich życiu jaśniał

Wschód

jego melancholia

podchodziła

tuż pod okna

na granicy snu

i jawy prosiła cicho

melodia

tatarskiej piszczalki

Rzeczywistość

stawiała się lżejsza

Mistyczne światy

Wschodu

Jaśniały.

Selim Chazbijewicz

### Cmentarz muzułmański

Podaj mi rękę poprzez trawę

Bracie spod znaku półksiężyca

Dłoń twoją w swoją chwycę

Będziemy śpiewać pieśni o sławie

Ty milczysz? nie ma Ciebie przy mnie  
Nie podasz mi swej ciemnej dłoni  
Słońce mi jakiś cień przestonił  
i widzę szary kamień zimy

Wiatr uniósł dawno twoją sławę  
i umilkł tupot końskich kopyt  
Nie słyszać pieśni spod buńczuka  
i cisza kładzie się pod stopy

Wysoka sosna wiatrem szumi  
Ponad kamieniami rzędem szarym  
Ptaki umilkły nad mizarem  
i żadnych słów znaleźć nie umiem

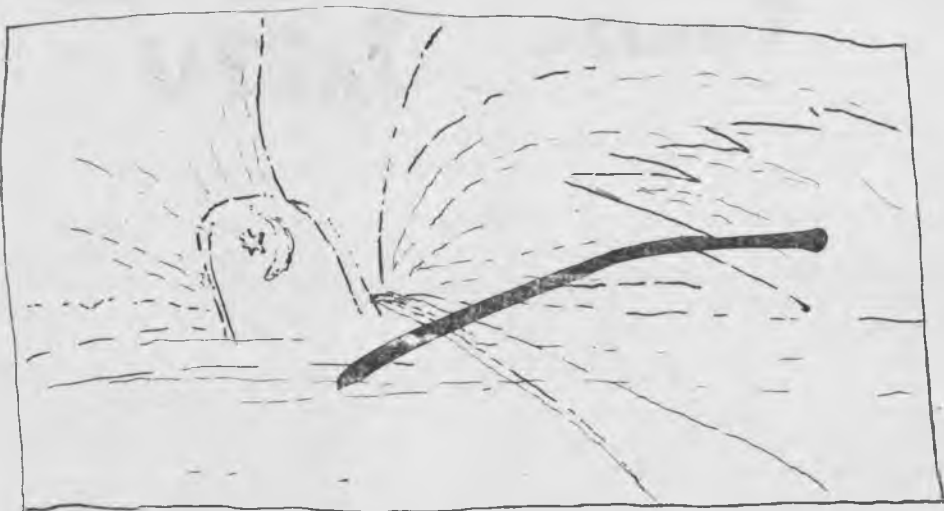
W więdnących kwiatach, żółkłej trawie  
O dawnych dziejach sen się przyśnił  
Śpij bracie — już nie będzie pieśni  
i cichy pokój twojej sławie

Teresa Rutkowska

### WSPOMNIENIE

Dawno temu, gdzieś u schyłku lat pięćdziesiątych w swych krajoznawczych wędrówkach dotarłem na Sokólszczyznę. W tej nieznannej dla mnie stronie intersowali mnie Tatarzy. Czulem z nimi więz poprzez legendę rodzinną, która nie pozwalała mi zapomnieć o ongiś stepowych przodkach. W Sokółce polecono mi na przewodnika jakąś tatarską dziewczynę, lecz ta przebywała w Bohonikach. Zaopatrzony w adres jej krewnych podążyłem ku tej wsi. Szedłem w gorące letnie popołudnie pełną wyboistą drogą, dostając się co jakiś czas w objęcia piaskowej mgły, wywoływanej przez mijające mnie furmanki. Na propozycję podwiezienia nie przystałem pragnąc cały ten trakt przbyć piechotą. Zmierzchało kiedy dotarłem do Bohonik. Przywitały mnie ciemności przerywane gdzieś blaskiem naftowych lamp wydostającym się z małych okienek chałup. Jakby instyktownie nie pytając nikogo dotarłem do chaty, w której zastałem ową tatarską dziewczynę. Gospodarze przyjęli mnie bez zdziwienia, serdecznie, wręcz swojsko. Ugościli młodymi ziemniakami z zsiadłym mlekiem. Dziewczyzna siedziała pół leżąc na tapczanie stojącym pod oknem, mając głowę opartą o parapet. Nieco zaskoczona moim pojawieniem się nie włączała się do rozmowy, jaką prowadziłem z gospodarzami, tylko co jakiś czas bacznie mi się przyglądała dużymi ładnymi oczyma, pełna zadumy a może i melancholii. Miała jakąś zadziwiającą urodę, było wiele w niej z Polki, jak i z Tatarki. Wydawać się mogła brzydką i piękną jednocześnie, mogła być władczynią i niewolnicą zarazem, można było ją kochać i nienawidzić. Zerkalem na nią stale znad albumu rodzinnego gospodarzy. W końcu sama przysiadła się do stołu blisko mnie, mówiła od czasu do czasu śpiewnie zawodząc, czulem jak narastała we mnie fascynacja jej osobą. Istniała tylko ona i jakiś nierealny świat, w którym nagle się znalazłem.

Tamtej nocy chyba w ogóle nie spałem. Rano nie czulem się jednak zmęczony. Wyglądając przez okno mego pokoju słuchałem piania kogutów, ujadania psów, obserwowałem krzątających się po obejściu gospodarzy. Dalej za płotem okalającym dom od strony podwórza opadała hen ku lasowi łąka, dostrzegłem na niej kogoś na koniu, gdy się zbliżył ze zdumieniem poznałem tę dziewczynę. Była tak samo urocza jak wczoraj, lecz już nie taka tajemnicza; ze zjawy preistoczyła się w czło-



wieka. Pomachała do mnie wesoło, zgrabnie zeskoczyła z konia i razem z nim weszła do dużej stodoły.

Po śniadaniu wspólnie z nią udałem się piechotą na stary tatarski cmentarz położony za wsią. Długo chodziliśmy wśród nagrobków, przeszliśmy niejedną ścieżkę, zaglądaliśmy w głąb mogilnika, gdzie wśród krzewów kryły się stare pochylone ku ziemi i porośnięte mchem kamienne pomniki. Nie wszystkie napisy na nich udało się odczytać, lecz nawet na tych, gdzie pozostał chociaż ślad czyjegoś nazwiska, nie odnalazłem swego rodowego. Wyglądało na to, że mogiły mych przodków zapadły się głęboko w ziemię lub porosły roślinnością. Było mi przykro, mojej przewodniczce również. Wracaliśmy milcząco drogą ciągnącą się wśród dojrzewającego zboża. Kiedy przyszliśmy do wsi dziewczyna zaprowadziła mnie do meczetu. W przedsionku świątyni zdjeliśmy obuwie, ona okryła głowę i ramiona długą kwiecistą chustą i weszła do pomieszczenia żeńskiego, ja znalazłem się w części męskiej. Tego dnia nie było nabożeństwa, byliśmy sami w meczecie oddzieleni drewnianą ścianką, spokojni, poważni, skupieni. Potem dziewczyna znowu dosiadła konia i galopowała nim kilka razy po wiejskiej ulicy. Była przy tym roześmiana, radosna, wręcz szczęśliwa. Po rodzinnym obiedzie opuściliśmy wspólnie Bohoniki. Ktoś z jej krewnych podwiózł nas furmanką do Sokółki. W miasteczku znaleźliśmy się przed małym mурowanym domem. Dziewczyna nie zaprosiła mnie do środka, lecz usiedliśmy na ławie w przydomowym ogrodzie. Rozmawialiśmy dłuższy czas, chciałem się czegoś o niej dowiedzieć. Ale ona o sobie mówiła mało. Zdołałem się tylko dowiedzieć, że jest Białostoczką, spędza tu wakacje, pragnie studiować polonistykę, uwielbia konie. Chce bardzo zobaczyć morze, którego nigdy jeszcze nie widziała. Wie dużo o historii Tatarów w Polsce, znana jest z tego wśród swoich, dlatego mi ją wskazano. Mimo tego ciągle nie potrafi się odnaleźć, jest wiecznie zagubiona. Powiedziawszy mi o tym umilkła, jej piękne duże oczy stały się poważne, smutne. Wyczytałem z nich prośbę, abym sobie już poszedł, zostawił ją samą. Odszedłem przygnębiony. Nazajutrz na dworcu wszedłem w tłum wracających z jarmarku, kłótlivy, wesoły. Niebawem nadjechał pociąg zaprzęzony w dyszącą, sapiącą i buchającą parą lokomotywę Tuwima. Opuściłem Sokółkę, uwożąc ze sobą wielką nieodgadniętą tęsknotę. Może kiedyś tu powrócę?

Gustaw Albertynowicz



# Twarze JAZZU

## JACO PASTORIUS

Gitara basowa od długiego czasu stanowi jeden z najważniejszych problemów muzyków jazzowych. Oryginalni wirtuozi tego instrumentu są w najwyższej cenie i jakże często to oni właśnie swoją grą wpływają na ogólną ocenę gry całego zespołu.

Sam instrument jest bardziej elastyczny od kontrabas, a jego brzmienie jak i moc w pełni odpowiadają potrzebom współczesnych zelektryfikowanych grup jazzowych. Jedynym elementem ujemnym jaki można jej zarzucić jest brak wyrazistości brzmienia.





Jednym z pierwszych muzyków który spróbował rozwiązać problem brzmienia gitary basowej był Larry Graham (członek grupy Sly and Family Stone). Jako pierwszy zagrał on za pomocą kciuka. W ten sposób uzyskiwane brzmienie stało się jedną z najbardziej charakterystycznych cech stylu lansowanego w nagraniach bluesa i rocka murzyńskiej wytwórni Motown Records. Słychać było wyraźnie trzaski strun uderzanych w ferworze grania o drewniany gryf instrumentu. Ten trzask przypominał sposób gry dawnych kontrabasistów z Nowego Orleanu.

Kolejnym krokiem naprzód w opanowaniu gry na gitarze basowej było wprowadzenie większej elastyczności w technice gry na tym instrumencie. Zapoczątkował ten etap Scott La Faro. Jednakże i inne nazwisko zasługuje na zwrócenie uwagi. Stanley Clarke połączył technikę Larry'ego z specyfiką gry Scotta La Faro. Clarke grał na kontrabasie akustycznym w Trio Billa Evansa, gdzie osiągnął ogromną wszechstronność i wirtuozerię.

W tej oto sytuacji, w roku 1976 na jazzowej scenie pojawiło się nazwisko Jaco Pastoriusa. Udało się mu połączyć technikę grania kciukiem i elastyczność jaką prezentował La Faro z techniką gry oktawaowej stosowanej dotychczas wyłącznie przez gitarzystów — przede wszystkim Wesa Montgomery'ego — uważanej za wręcz niemożliwą dla gitarzystów basowych. Pastoriusa określono jako „sensację gitary basowej” drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Od tej pory w grze gitarzystów basowych można usłyszeć cechy charakterystyczne tylko dla największych i najwrażliwszych kontrabasistów jazzowych: ekspresję, emocjonalność, narrację i „growl” (brzmienie wywodzące się z sekcji instrumentów dętych orkiestry Duke'a Ellingtona)... Sam Jaco Pastorius mówi o swojej grze: „...Gram na gitarze basowej tak jakbym grał na ludzkim głosie, jakbym mówił. Uwielbiam basowe wokalistów. Zawsze miałem takie brzmienie. Nie wiem w jaki sposób je uzyskuje... Bierze się ono po prostu z życia...”

Urodził się w 1951 roku w Filadelfii. Gdy miał 8 lat rodzice przenieśli się na Florydę. On sam mieszka tam do dziś i jak twierdzi jest to znakomite miejsce leżące w obszarze Morza Karaibskiego. Dociera tu muzyka z Kuby, a rytmy karaibskie słychać na każdym kroku. Tu właśnie na terenie zderzenia dwóch kultur muzycznych Jaco Pastorius dotarł do muzyki murzyńskiej. Nasłuchiwał się i nagrał tej muzyki więcej niż niejeden murzyn.

Francuski krytyk Laurent Goddet stwierdził kiedyś iż doszukał się w muzyce Pastoriusa wpływów Bacha. Sam Jaco odpowiedział: „Zgadza się. Czy zna Pan „Fantazję chromatyczną” Bacha na fortepian solo? Otóż potrafię zagrać na basie cały ten utwór — od początku do końca.” I tak oto dochodzimy do sedna sprawy — co wywarło największy wpływ na rozwój talentu muzycznego Jaco Pastoriusa. Są to muzyka karaibska i kubańska z nieodłącznym instrumentarium takim jak: bongosy, perkusja, gitara... oraz inne style muzyczne, jak: amerykańskie pieśni, soul, Bach, współczesna muzyka koncertowa.

„...Do jazzu przyszedłem stosunkowo późno. Najpierw był James Brown. Znaczył on dla mnie dużo, tak jak wszyscy wielcy murzyńscy piosenkarze: Wilson Pickett, Otis Redding... Obecnie niewiele jednak słucham muzyki pop. Lubię muzykę klasyczną, a zwłaszcza takich kompozytorów jak Hindemith, Strawiński czy Debussy...” Pierwsza płyta Jaco Pastoriusa (Epic PE 33949) przedstawia słuchaczowi pełen zakres możliwości tego muzyka: od Charlie Parkera do rocka, od pełnej indywidualności, bardzo osobistych i bardzo ciepłych partii solowych do aranżacji na wielkie orkiestry. Na tej płycie staje się dla słuchacza jasne, że muzyk którego słucha to nie tylko basista ale również wspaniały, wszechstronny kompozytor, aranżer, bandleader. W nagraniu tej płyty współuczestniczył inny legendarny muzyk jazzowy, saksofonista i trę-

bacz Ira Sullivan. To właśnie dzięki niemu znalazł się na tej płycie utwór Charlie Parkera „Donna Lee”, będący prawdziwym fajerwerkiem gry na gitarze basowej. Po nagraniu tej płyty Pastorius doszedł do pewnego wniosku: „...Zaprzestałem słuchania najnowszych kierunków w muzyce. Uważam, że lepiej będzie dla mnie jeśli nie będę słuchał najbardziej modnych basistów, kimkolwiek by oni byli”.

Postanawia być od początku do końca sobą i na dodatek być „wielkim”. Nie jest to wcale wypowiedź pyszałka. Jest coś co stawia Pastoriusa w jednym rzędzie z wielkimi kontrabasistami jazzu. Gra on stosując ponownie harmonie. Większość jazzowych basistów przestała grać akordami około 10 — 20 lat temu. Do niedawna obowiązywał gra „modalna”, jak gdyby okrążając w przybliżeniu improwizacje instrumentów dętych i dążąc w stronę tak zwanych centrów tonalnych. Gra harmoniczna była specjalnym przywilejem, żeby nie powiedzieć atutem wilkich basistów jazzowych lat pięćdziesiątych. Wówczas głównym zadaniem basisty było zaznaczanie akordów i progresji harmonicznego utworu. „...Nikt mnie nie uczył. Wszystko musiałem odkrywać sam. Po prostu doszedłem do tego że basista powinien grać akordami. Tak dyktuje po prostu zdrowy rozsądek... Herbie Hancock, Miles Davis — wszyscy oni grają te wspaniałe akordy. Również Gil Evans, który jest jednym z najbardziej wpływowych twórców w tej dziedzinie. I Strawiński. A przede wszystkim — pianiści! Grają oni najbardziej wyrafinowaną muzykę. Pianista nic nie znaczy gdy nie zna akordów. Uwielbiam pianistów”.

Ale najbrdziej fascynująca w muzyce Pastoriusa jest improwizacja i twórcza spontaniczność. Czuje się w pełni szczęśliwy grając z takimi zespołami jak chociażby Weather Report.

W jednym ze swoich ostatnich wywiadów stwierdza: „...Pozostanę długo na scenie jazzowej — jak drzewa, które wyrastają powoli. Pragnę grać dobrą muzykę, bez względu na styl. Nie wydaje mi się, abym w swojej muzyce szedł na kompromis. Jeśli to co gram jest komercyjne, to nie dlatego, że pragnę aby takie było. a dlatego, że moja muzyka jest melodyjna, łatwa do słuchania. Wprawia to w zakłopotanie wielu ludzi, szczególnie ze świata jazzu...”

**Krzysztof Ostaszewski**

# KALEJDOSKOP KULTURALNY

## Co słycać w terenie?

Słycać różnie i dlatego dziś, przy wyjątkowej okazji tatarskiego numeru (niech się tu komuś głupio nie kojarzy) zobaczyć wypada, co dzieje się w Sokólskim Ośrodku Kultury. A dzieje się jak zwykle, miarowo, interesująco i skutecznie.



## Drugie urodziny

Niedawno odbyła się znacząca w środowisku sokólskim impreza z uczestnictwem rodzin muzykujących. I przy tej okazji żal dwóch rzeczy. Pierwszą jest brak w tej imprezie uczestnictwa choćby jednej takiej rodziny z Białegostoku, a drugą, że tej imprezy nie powtarza się w formie koncertu w kilku mniejszych miejscowościach Białostoczczyzny i w mieście wojewódzkim. Dobrze przynajmniej, że jest już nowy pomysł, by w roku przyszłym owe rodziny wystąpiły w miejscowych zakładach pracy.

Zakończyły się eliminacje konkursu recytatorskiego i z Sokółki do wojewódzkich eliminacji zakwalifikowało się dziesięciu recytatorów.

Natomiast rejonowe eliminacje konkursu piosenki radzieckiej odbędą się w Kuźnicy, co wynika ze słusznego założenia, że wszelkie działania kulturalne tam powinny być organizowane, gdzie mogą wzbudzić największe zainteresowanie, a nie wedle zasady — przyjdźcie do nas i późniejszego żalenia, że im się nie chciało i znowu na sali było pusto.

Równa setka dzieci sokólskich przystąpiła do egzaminów Ogniska Muzycznego prowadzonego w SOK, w Muzeum Społecznym wystawa fotografii rejestrujących Sokółkę, w marcu odbył się bal filmowców na drugie urodziny DKF działającego przy SOK-u, a w kwietniu odbędzie się Zjazd Towarzystwa Miłośników Ziemi Sokólskiej.

## Orient — Orient

Oczywiście rzecz najważniejsza. W dniu 31 maja br. odbędzie się po raz czwarty Orient Sokólski. Zacznie się sesja, popularno-naukowa, na którą referaty opracują przedstawiciele kilku ośrodków akademickich w kraju. Potem ciekawa impreza artystyczna w klubie, a dalej, bo jakżeby inaczej — plener. Wędrówka Szlakiem Tatarskim, zwiedzanie meczetów, spotkanie towarzyskie Tatarów, a na koniec myśli się o niespodziance dla podniebienia. Najważniejsze jest to, iż w tym roku nastąpi bliższe poznanie się różnych kultur.

Sokółka zaprasza.

## Równorzędni partnerzy

Kiedy zjawilem się w Sokółce miałem szczęście trafić na wstępne dyskusje przedstawicieli białostockiego i sokólskiego ruchu teatralnego, przed walnym zebraniem, które odbyło się z racji organizowania przez Białostockie Towarzystwo Kultury Teatralnej dziesiątego ogólnopolskiego Zjazdu tej organizacji, jaki odbędzie się w okresie tegorocznej jesieni. Oto fragment zażartego dialogu o wydarzeniu białostockim.

— Przejęliśmy budynek i salę widowiskową Budowlanych w Białymstoku. To znaczy przejął ją WDK, a użytkownikiem sceny ma być TKT. Zgoda, ale czemu TKT ma być menagerem. Tu trzeba kogoś, kto proponuje znakomity program, będzie organizował wieczory klubowe, ściągał ciekawe propozycje artystyczne, nie tylko teatralne i to zarówno z terenu miasta, jak i województwa. Te programy winny być wzorem dla innych.

— Ja zakładam po dwudziestu pięciu latach pracy, że to się wszystko zwali na TKT. Niech organizuje, zapłaci, przywiezie, itp., a będzie się nazywać, że działalność jest w WDK.

— Przecież to jest do uzgodnienia i chyba w tym momencie najmniej ważne.

— Dobrze, ale to muszą być dwaj równorzędni partnerzy.

— A nie są!?

— Jeśli dział teatralny WDK będzie miał w tym zakresie swoje oryginalne propozycje, to będą partnerzy.

— Ośrodek Upowszechniania Teatru w Białymstoku miał w ubiegłym roku przerób finansowy 2,5 miliona złotych, co świadczy również o nie-małej liczbie uduchowionych dusz. To już coś, prawda?... Oczywiście, że na tę scenę wejdziemy...

—To skąd ta opozycja?

Maciej Skarga

P.S. Od tego numeru poczynając otwieramy listę zaproszeń na ciekawe wydarzenia kulturalne organizowane przez wszystkie placówki kulturalno-wychowawcze z terenu naszego województwa. Rzecz prosta, że to my oczekujemy na powiadomienie nas i od razu uczciwie uprzedzamy, że miejsca niewiele i ten, kto się pośpieszy wejdzie w odpowiednim czasie na łamy w końcu kwartalnika.

M.S.

---

### BYĆ WIERNYM SOBIE...

Kiedy tylko stykamy się z zagadnieniem utrwalenia twórczości wybitnego aktora, kiedy rodzi się potrzeba udokumentowania jego osiągnięć — natychmiast pojawia się, tchnące rozpacziwą beznadzieją, słowo: ulotność... Aktorzy odchodzą w przeszłość, na scenę wieczności, nam pozostawiając kilka martwych, upozowanych fotogramów bez życia, nieco recenzji w wycinkach gazetowych, parę afiszy, plakat... Pewien czas wspominamy. Emocjonalna pamięć podpowiada co celniejsze epizody ról; nieraz wielkich ról; przypomina ich głębię, siłę i amplitudę. Wreszcie powoli zapominamy, zapominają inni. Tak dzieje się w ogromnej większości przypadków. Przecież tylko największym, najwybitniejszym poświęca się książkę, film, program telewizyjny.

A reżyserzy? A ich widowiska, stanowiące wyraz i efekt działalności artystycznej? A zagadnienie reżyserii? To zjawisko chyba jeszcze bardziej umyka próbom trwałego zapisu. Powiedzmy tu wyraźnie, uprzedzając głosy zwolenników nowoczesności, że wszelkie techniki video, po których tak wiele sobie obiecujemy, to — w przypadku sztuki reżyserkiej — zaledwie powierzchowna rejestracja pewnych części składowych warsztatu. Nie poddają się takiemu zapisowi bogate, intelektualnie pojemne, zawierające stygmaty swego czasu artystyczne dzieła.

Reżyserzy, reżyseria, inscenizacja, widowisko teatralne... Czy nie ma dla nich ratunku przed niepamięcią? Pokaże to przyszłość. A na razie trzeba tę sztukę dokumentować choćby tylko pisząc o niej. Wielość spojrzeń, ich zróżnicowane optyki, sposoby publikacji, mogą stanowić przecież w sumie obfite tworzywo dla wyobraźni tych, którzy w przeszłości teatru szukają żywej tkanki dla sycenia nią współczesności scenicznych działań.

Piszę więc, gdyż uważam, że nie sposób przejść obojętnie obok pewnej niezwyklej postaci twórcy, który — a raczej która — połączyła w sobie mnogość cech znamionujących artystów najwyższej rangi. Nie będę gołosłowny i postaram się — mówiąc o Joannie Piekarskiej — wydobyc te elementy, które stanowią o istocie życia twórcy; nazwać kwintesencję żmudnej lecz radosnej drogi i dzieła artystki; aktorki i organizatora, reżysera i wychowawcy.

Działalność profesjonalną w teatrze lalek rozpoczęła Joanna Piekarska w latach powojennych w Toruniu. W roku 1946 wystawia tam, w toruńskim teatrze lalek „Baj Pomorski” swą pierwszą sztukę według znanej baśni Lucyny Krzemienieckiej: „Historia cała o niebieskich migdałach”. To początek twórczej działalności teatralnej tej artystki, która wpisze się następnie widocznymi zgłoskami w cztery dziesięciolecia dzie-

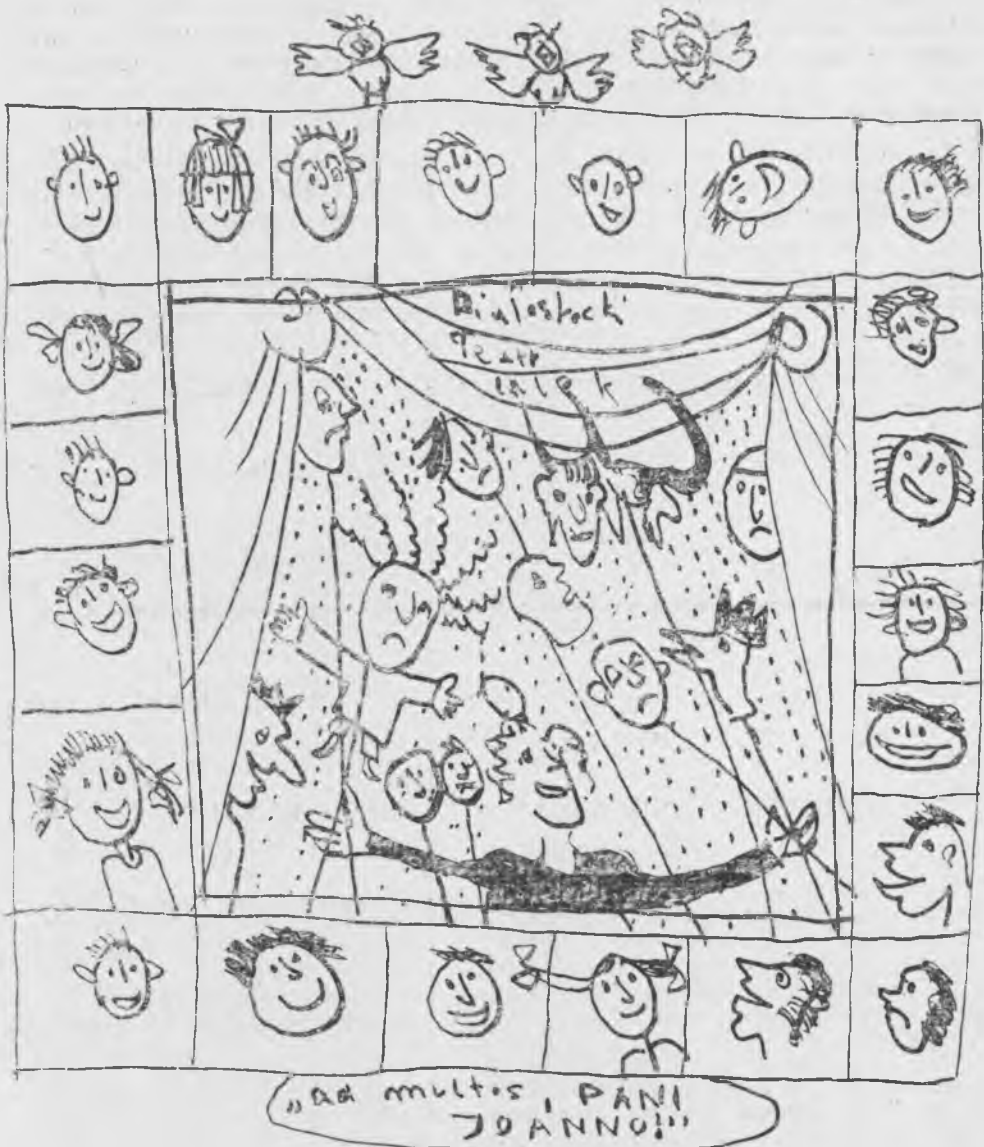
jów teatru w Polsce Ludowej. Była w Toruniu reżyserem i aktorką, ale nie tylko. W owych latach w czasach podnoszenia z powojennych gruzów kultury polskiej nie rozpieszczano artystów. Cały teatr liczył 10 osób i wszyscy, a więc także Joanna Piekarska, musieli umieć robić wszystko. Dosłownie wszystko. Sami projektowali, wykonywali i mechanizowali lalki, szyli dla nich kostiumy, klecili dekoracje i malowali je, modelowali rekwizyty, grali na instrumentach muzycznych, jednym słowem wykonywali komplet prac dzisiejszych kombinatów teatralnych, zatrudniających dziesiątki fachowców. Pani Joanna działała w „Baju” przez osiem lat. To dzięki Jej talentowi, pracowitości i konsekwencji placówka ta z amatorskiego, niemal prywatnego zespołu, przerodziła się w teatr profesjonalny o ustabilizowanym, wysokim poziomie artystycznym, akceptowanym przez dziecięcą i dorosłą społeczność Pomorza.

Poznański Teatr Lalki i Aktora powitał Joannę Piekarską w roku 1954. Objęła tam stanowisko kierownika artystycznego. Z zapałem zajęła się organizacją cyklu produkcyjnego teatru, wypracowaniem właściwej atmosfery twórczej w zespole, realizacją nowej formuły artystycznej. Wprowadziła mianowicie na scenę wielką literaturę. „Bajki”, „Ballady”, Mickiewicza, poetycka „Baśń o pięknej Parysadzie” Leśmiana. „Pastorałka” Schillera. „Młynek do kawy” Gałczyńskiego stanowią nowe słowo w polskim teatrze lalek. Wzbogacają jego repertuar, ukazują nowy kierunek i obszary twórczych poszukiwań. Pozyskane regiony literackie determinują nowy styl inscenizacji, wymuszają powiększenie arsenału środków wyrazowych. Joanna Piekarska wykorzystuje tę szansę do końca. Równorzędnym komponentem w Jej spektaklach obok literatury, sztuki reżysera i kunsztu zespołowego aktorstwa staje się plastyka oraz konsekwentne określenie tempo-rytmów, wzbogacające warstwę słowną widowisk o swoistą muzyczną dyscyplinę i ład, rygorystycznie komponujące spektakl. Poznański teatr lalek staje się widoczny w kraju i za jego granicami.

Kolejny exodus wiedzie Panią Joannę do Białegostoku. W niedawno upaństwowionym „Świerszczu” pojawia się w roku 1960 jako reżyser. Następnie pełni funkcję dyrektora i kierownika artystycznego. Aktywnie angażuje się w walkę o budynek dla teatru. Cechą charakterystyczną tych lat są ciągle zmiany siedziby i peregrynacje zespołu. Wreszcie po okresie pewnej stabilizacji — przejście na emeryturę. Ani niespokojny żywot w „teatrze bez teatru” ani też „stan spoczynku” nie zmniejszyły niepokoju twórczego Joanny Piekarskiej. Przez cały ten czas proponuje najmłodszym widzom wciąż nowe widowiska. Jej przedstawienia wyróżniają się dojrzałością artystyczną. Piekarska z całym spokojem i świadomością operuje pełnią środków warsztatowych inscenizatora i reżysera. Konsekwentnie kreuje swój teatr. Doskonały artystycznie, odrębny, a przy tym prosty i komunikatywny. Realistyczny w najbardziej szlachetnej odmianie. Poszukując punktów odniesienia do okresu białostockiego przypomnę, że nie tak dawno otrzymała Pani Joanna nagrodę Białostockiego Teatru Lalek w zorganizowanym wspólnie z „Gazetą Współczesną” plebiscytem widzów na najpopularniejsze widowisko roku 1985: „O Zwyrtałe Muzykańcie” (wraz ze scenografem Ryszardem Kuzyszynem). Do tegoż plebiscytu — za ubiegły rok — zgłoszono kolejne białostockie przedstawienie Joanny Piekarskiej „Baśń o dobrym smoku” Dvorsky’ego.

Mówi się, że Joanna Piekarska jest obecnie najbardziej płodnym reżyserem teatru lalek w Polsce, zawstydzając w ten sposób reżyserów panów. Istotnie reżyseruje gościnnie w wielu teatrach, wszędzie przyjmowana gorąco i z uzasadnionymi nadziejami na sukces artystyczny. Nadzieje te zwłoka spełniać. Zrealizowała — co udało się zanotować statystykom, a także księgowym — blisko sto spektakli! Bawiąc się dalej





w statystykę łatwo obliczymy, że daje to prawie dwa i pół spektaklu rocznie, co stanowi (jeśli można tak reżyserów „podliczać”) bardzo wysoką średnią...

Kiedy przemierzmy myślą ten szmat czasu od Torunia 1946 do Białegostoku to ujrzymy dziesiątki interesujących widowisk, całe szeregi lalkowych postaci, a na widowniach teatrów tysiące dzieci śledzących losy swych bohaterów. Łatwo też obliczymy, że między Toruniem a Białymstokiem zawarło się równo 40 twórczych, pracowitych lat. A więc — jubileusz. A więc okazja do sprecyzowania i nazwania dzieła Jubilatki, której praca w teatrze lalek nie była bynajmniej jednorodna. „Nie formułowała nigdy teoretycznych zasad swego programu. Nie określała przynależności do żadnego kierunku, nie służyła żadnej modzie. Zawsze była sobą. Jej prace zaś bardzo osobiste jako wyraz wrażliwości i aktualnego nastroju reżysera, jako wyraz odczuć i postaw, zazwyczaj



harmonijnych, rządzonych intuicją twórczą” — napisze o Niej historyk i badacz teatru lalek Henryk Jurkowski. Liczne dowody uznania; nagrody w konkursach i festiwalach, pochwalne głosy krytyki, wdzięczność małych i dorosłych widzów — stanowią tylko częściowe potwierdzenie i ocenę wysokiego kunsztu inscenizatorsko-reżyserskiego.

Joanna Piekarska mieszka w Białymstoku. Jest jednak — z serca i pracy — honorową obywatelką wielu innych miast Polski. Tych, w których lalki rozmawiają z dziećmi, ukazując im piękno otaczającego świata...

Dzieła Jubilatki — nie podsumowujemy. Nie składa Ona przecież broni; nie odchodzi od teatru... Nosi już pewnie z sobą nowe pomysły i plany.

Czekając na kolejne premiery życzymy: „ad multos annos, Pani Joanno!”...

**Andrzej Z. Brzeziński**

---

**Świat, człowiek, prawo**

## **FINANSOWANIE ZADAŃ W ZAKRESIE KULTURY**

Upowszechnianie kultury m.in. ma za zadanie wzbogacanie osobowości człowieka, kształtowanie pozytywnych jego postaw, rozszerzanie i umacnianie więzi międzyludzkich, rozwijanie kultury dnia codziennego w miejscu pracy i zamieszkania.

Te wniosłe, a zarazem codzienne nakazy i obowiązki powodują, że życie każdego człowieka może z dnia na dzień stawać się miłsze i pożyteczniejsze, bogatsze w sens i treść.

Ustawa z dnia 26 kwietnia 1984 r. o upowszechnianiu kultury oraz o prawach i obowiązkach pracowników upowszechniania kultury (Dz. U. Nr 26, poz. 129 z 1984 r.) szczegółowo określiła zasady tworzenia instytucji i placówek upowszechniania kultury, ich zadania, prawa i obowiązki pracowników jednostek upowszechniania kultury, zasady finansowania działalności merytorycznej.

W kontekście ustawy zadania związane z upowszechnianiem kultury ujmowane są w centralnym i terytorialnych planach społeczno-gospodarczych, a poszczególne jednostki organizacyjne zobowiązane są do zabezpieczenia warunków materialno-technicznych mających na celu prawidłową realizację zadań w zakresie kultury.

Środki finansowe na realizację zadań w zakresie rozwoju kultury polskiej zgromadzone zostały w Funduszu Rozwoju Kultury.

Na ten Fundusz przekazywana jest kwota stanowiąca 13,60/0 podatku od płac w skali kraju; dotacje z budżetu państwa na finansowanie inwestycji do określonych wysokości w centralnym planie rocznym; wpływy ze środków funduszu przeciwalkoholowego w wysokości 150/0 ich kwoty rocznej; inne wpływy, darowizny, dopłaty (Ustawa z dnia 4 maja 1982 r. o Narodowej Radzie Kultury oraz o Funduszu Rozwoju Kultury — Dz. U. Nr 14, poz. 111 z 1982 r.)

W świetle nowych regulacji prawnych jednostki organizacyjne kultury i sztuki, finansowane dotychczas wg. zasad określonych dla jednostek i zakładów budżetowych, finansowane są z Funduszu Rozwoju Kultury właściwego szczebla i rozliczane na zasadach określonych w zarządzeniu Ministra Finansów, z dnia 25 stycznia 1978 r. w sprawie zakładów budżetowych (Mon. Pol. Nr 7, poz. 23 z 1978 r.)

**Kazimierz Konopka**

## WUDEKOWSKIE WYDAWNICTWA

Zadaniem biblioteki metodycznej jest gromadzenie wydawnictw Wojewódzkiego Domu Kultury w Białymstoku. Do najwartościowszych należą tomiki poezji poetów Białostocczyzny, cieszące się popularnością szczególnie wśród młodzieży szkolnej. Są to zbiory wierszy niezującego już poety Zbigniewa Słaczki — „Ecce Homo”, „Kiczory” i „Symfonia dojrzewania” oraz Mikołaja Samojlika „Dąbrowski księżyc”. Wiersze tego poety wywołują zadumę i refleksje. Ciekawe rozwiązanie graficzne zawiera tomik Jana Leończuka „Biała sukienka”. Należy zaznaczyć, że nad całością opracowania graficznego większości wydawnictw WDK czuwa Władysław Pietruk. „Wiersze” Józefa Karpiuka mówią o uмиłowaniu Ojczyzny i ziemi rodzinnej;

... Polsko ukochany kraju  
na ziemskim globie  
bądź wiecznie znaczącym punktem  
lanem złotych kłosów w pogodzie  
chlebem pachnącym  
białym gołębim.

Trudno nie wspomnieć o twórczości literackiej zastępcy redaktora naczelnego „Gazety Współczesnej” Krystyny Koneckiej, laureatki ogólnopolskich nagród w dziedzinie publicystyki, reportażu i poezji. Tomik „Ślady na jeziorach” ujrzał światło w Międzynarodowym Roku Pokoju — 1986. Z kobiecą wrażliwością pisze o urokach przyrody.

... Czymże się zasłużyłam — cywilizowana  
że puszcza mi odkryła porębę świetlistą  
a w dłoniach traw bogactwo na odległość wzroku.

Dużo uroku mają: tomik Stefanii Matysiewicz „Nadzieja”, Franciszka Święckiego „Pieśń o pieśni” oraz Jerzego Binkowskiego „Akord”.

Do pogłębienia wiadomości z zakresu historii filmu wśród młodzieży szkolnej i pracującej służą scenariusze opracowane przez mgr Lidie Orlikowską, a wydane przez WDK, są to: „Film polski od A do Z”, „Uśmiechy kina”, „Wszystko o filmie włoskim”, „O westernie prawie wszystko”, „Wędrowki przez miasta polskie”, „Czy znacie państwo filmy naszych przyjaciół”.

Należy nadmienić, że oficyna wydawnicza Wojewódzkiego Domu Kultury wydała kilka scenariuszy widowisk dla dzieci. Są to spektakle przeznaczone dla grup przedszkolnych i klas najmłodszych: „Znajdek” pióra Dominiki Krauze-Wójtowicz „Chciwe niedźwiadki”, „Mateuszek na zaczarowanej wyspie”, „Słońce świeci we wszystkich porach roku”, „Szałaputek i szałaputka” pióra Ewy Lange.

Romualda Koziol

